



Wąsem i szablą

fantastyczna
antologia sarmacka

Sawicki
Juraszek
Truchan
Sokół
Kilian
Hałas



PATRONAT

FAHRENHEIT

WWW.FAHRENHEIT.ORG.PL

Andrzej W. Sawicki "Machine de Pologne"

Fahrenheit Crew

Opowiadanie promuje antologię opowiadań sarmackich pod redakcją Dawida Juraszka pt. "Szablą i wąsem", która wkrótce ukaże się nakładem wydawnictwa RW 2010.



Przedmowa

Łaskawa/y Czytelniczko/niku!

Jeżeli szukasz szablą i wąsem, kontuszem i dworkiem, ogniem i mieczem pisanych opowieści, książka ta Cię nie zawiedzie.

Jeżeli jednak, moja Pani Czytelniczko/mój Panie Czytelniku, do wszystkiego, co sarmackie stosunek masz niechętny i podejrzliwy, niejedno przeżyjesz tutaj zaskoczenie.

Nie o to bowiem Autorkom i Autorom oraz niżej podpisanemu idzie, by utartym szlakiem i wygodnym tempem podążać, lecz by w nowe ramy stary pejzaż oprawić (albo w stare nowe), by inny wiersz do znanej melodii ułożyć (lub do znanego inną)...

Trzecie *exemplum* niepotrzebne – na pewno wiesz już, Czytelniczko/Czytelniku tej krótkiej przedmowy, czego na kolejnych stronach spodziewać się możesz.

D.J.

Chiny, Kanton, marzec 2012

Andrzej W. Sawicki: Machine de Pologne

Promienie majowego słońca przebijały się z trudem przez korony drzew. Zanim padły na piach, muskały skórzane kaftany i kapelusze dragonów, ślizgały się po żelaznych lufach bandoletów i muszkietów, skrzyły się w sierści spoconych wierzchowców, migotały na husarskich zbrojach i rękojeściach szabel.

Śląskim lasem ciągnęły w tumanach pyłu kolumny jeźdźców. Dwóm chorągwiom, husarskiej i dragońskiej, towarzyszyła lekka jazda komputowego wojska. Na końcu kolebały się ciężkie wozy zaprzężone w czwórki. Kawaleria musiała zwalniać, a czasem nawet przystawać, by pozwolić taborom nadążyć. Najbardziej drażniło to Feliksa Potockiego, porucznika husarii, wysokiego dwudziestoparolatka o płowej czuprynie.

- Bodaj was! - warknął wreszcie, odwracając się w siodle. - W tym tempie i za tydzień nie dojedziemy... - Pogroził pięścią woźnicy i ogólnie wszystkim komputowym z oddziałów Tytusa Burattiniego, do którego należały wozy.

- Daj spokój, bo jeszcze Italianiec zobaczy i się obrazi - mruknął potężny młodzieniec, pułkownik i dowódca wyprawy, Jan Sobieski.

- A tam obrazi - prychnął najstarszy wiekiem z trójki oficerów, rotmistrz dragonów, Mikołaj Grudziński. - Pewnie pogna na skargę do tej francuskiej harpii.

- Hamuj się, rotmistrzu. - Jan groźnie zmarszczył brwi. - Nie przystoi mówić w ten sposób o królowej, nawet wśród zaufanych przyjaciół i kiedy wokół nie ma ciekawskich uszu.

Grudziński nie sprawiał jednak wrażenia skruszonego. Uśmiechnął się tylko i mrugnął porozumiewawczo do Feliksa. Jana nie zdziwiło takie zachowanie; sam też nie przepadał za Jej Wysokością, jak i zresztą żaden szanujący się szlachcic. Ich trójka ponadto miała dodatkowe powody do niechęci. W samym środku wojny, kiedy pokonana Rzeczpospolita podnosiła się z kolan po bolesnej klęsce i oddziały wierne Janowi Kazimierzowi wreszcie zaczynały bić Szwedów, zostali zwyczajnie odwołani z pola i wysłani gdzieś na koniec świata. W takiej chwili! Po pięknym zwycięstwie pod Warką i udanym oblężeniu Torunia, kiedy Polacy gromadzili się, by odbić udręczoną Warszawę, trzem młodym żołnierzom zwyczajnie zamykało się drogę do chwały, do możliwości udowodnienia swego męstwa i bicia się za wolność ojczyzny. I po co? By odeskortować ulubionego magika królowej do miejsca jej zesłania! To było niczym policzek. Nic dziwnego, że się wściekali.

Jan nie próbował zatem strofować rotmistrza, ba, walczył ze sobą, by nie dodać czegoś jeszcze bardziej kąśliwego o francuskiej lisicy. Powstrzymał się jednak; mimo wszystko zamierzał wykonać królewski rozkaz.

- Ponoć widziałeś ją z bliska, Janie - zagaił Grudziński, najwyraźniej nie chcąc dać za wygraną. - Naprawdę jest tak wyuzdana? Gadają, że każe wszystkim pannom z fraucymeru chodzić z niemal zupełnie odsłoniętym biustem! A cyce sama ma wielkie, o, takie... I też lata prawie goła. A chutliwa jest ponad miarę i, na zmiłowanie Boskie, nie gardzi w łóżu towarzystwem kobiet, niczym Safona.

- O kim mówisz, do stu diabłów? - Sobieski groźnie zmarszczył brwi.

Feliks Potocki zaśmiał się głośno, w jego błękitnych oczach błysnęła wesołość. Jan spiorunował go wzrokiem, ale po chwili machnął ręką. A co tam! Lepiej żeby się śmiali, niż siedzieli w siodłach naburmuszeni, zgrzytając zębami. Nie miał dziś ochoty odgrywać groźnego dowódcy, ślepo

wykonującego rozkazy.

- O tych odsłoniętych biustach też słyszałem - dodał Potocki. - I jeszcze, że ma zdanie na każdy temat i nie waha się mądrzyć w różnych oficjalnych sytuacjach, nie bacząc na miejsce należne białogłowie. Szepcze królowi na ucho przez całe noce i tak potrafi go omamić, że jaśniepan robi wszystko, co mu powie. I swoje panny uczy ponoć tego samego. Biada ich przyszłym mężom! Zamiast posłusznej niewiasty, wiernej i opiekującej się domem, dostaną się im sfrancuziałe harpie, przemądrzałe, wyuzdane i nazbyt pyskate.

- Prawda to, Janie? - Mikołaj wyszczerzył się do Sobieskiego. - Tyś bywały w świecie i na królewskich dworach. Poznałeś królową i jej fraucymer?

- Poznałem. - Młodzieniec kiwnął głową. - W czasie sejmu warszawskiego, wiosną ubiegłego roku. Historie o wyuzdaniu królowej to tylko bajdurzenia kabotynów, którzy chcą przypodobać się jej wrogom. Wszyscy w otoczeniu Ludwiki noszą się, co prawda, z francuska, ale tak samo ubiera się i zachowuje szlachta w całym chrześcijańskim świecie. Nie znaczy to - zastrzegł się szybko - że pochwalam te cudzoziemskie stroje i obyczaje. Pasują do polskiego dworu jak pięść do nosa. Są tak samo chybione, jak inne próby królowej, by zrobić z Rzeczypospolitej drugą Francję.

- Nigdy! - uniósł się Grudziński. - Nie będziemy zakładać peruk i żabotów, wylewać na siebie wonności i pudrować nosów!

- To wszystko furda! - Potocki machnął ręką. - Najważniejsze to nie dopuścić, by ta jędza osadziła na polskim tronie jakieś francuskie książątko. Wprowadzi nam swoje obce prawa i co się wtedy stanie z naszą złotą wolnością?

Sobieski popatrzył na kompanów z ukosa. Tak po prawdzie, to Grudzińskiemu nie zaszkodziłyby francuskie perfumy, bo śmierdział jak cap. Feliksowi z kolei przydałoby się ukrócić nieco tę złotą wolność, bo choć jeszcze młody, zdążył już zerwać niejednego sejmik.

- Bij Francuzów, bij, wzięwszy dobry kij - zaintonował rotmistrz. - Wal Francuzów, wal, wbijaj ich na pal!

- Siecz Francuzów, siecz, zaostrzywszy miecz - przyłączył się porucznik. - Tnij Francuzów, tnij, to ich będzie mniej!

Jan pokręcił głową, ale uśmiechnął się pod wąsem. Nie zdążył jednak włączyć się do przyśpiewki, bo niespodziewanie rozległ przeraźliwy ryk rogu. To wysłany podjazd alarmował o zagrożeniu. Prowadząca chorągiew dragonów wyjechała już z lasu na łąkę. Husaria i komputowi tkwili jeszcze na piaszczystej drodze, między drzewami. Trzej oficerowie wymienili szybkie spojrzenia, a potem jak jeden mąż dali koniom ostrogę.

Gdy wypadli z lasu na otwarte pole, ujrzeni, jak kolumna dragonów zjeżdża z drogi okalającej niewielkie wzniesienie. Najpewniej postanowili zawrócić i ukryć się w gęstwinie.

Nie zdążyli. Zagrzmiała salwa, zakwiczały ranione konie, dragoni zaklęli, próbując utrzymać się w siodłach. W powietrzu rozniósł się zapach palonego prochu, tak często w ostatnich latach zatruwający polskie powietrze.

- Tam, na wzgórzu! - Mikołaj Grudziński wskazał ręką. - Jasna cholera, to chyba czarni jeźdźcy!

Niemieccy rajtarzy na służbie Karola Gustawa, którzy swą nazwę wywodzili od czernionych napierśników, galopowali właśnie po wzgórzu, równoległe do kolumny dragonów. Wykonywali

manewr zawracania całą linią, by zwrócić się drugim bokiem do przeciwnika. Wypalili salwą z pistoletów, a jako że każdy z nich miał po dwa puffery w olstrach, ustawiali się, by powtórzyć ten manewr, mierząc drugą ręką.

- Robią karakol! - zawołał Jan. - Husaria, za mną!

- Mam spieszyc dragonów? - dopytał jeszcze Grudziński.

- Nie, mogą się przydać konno - rzucił Sobieski przez ramię, wysuwając się przed wojsko.

Husaria wyjechała stępa z lasu. Jan dobył szabli i wskazał kierunek ataku.

- Bij, zabij!

Chciał uderzyć w bok kirasjerów, zanim ci zdążą powtórzyć salwę. Potocki dołączył do niego, wrzeszcząc ponaglać na żołnierzy. Grudziński tymczasem wpadł między dragonów, by zaprowadzić pośród nich porządek. Kirasjerzy wypalili tym razem nierówną salwą, i to zanim jeszcze część z nich zdążyła ustawić się do strzału. Chmura dymu na chwilę zasnuła stok niewielkiego wzniesienia. Znowu zakwiczały boleśnie konie dragonów, kilku ranionych jeźdźców spadło w wysoką trawę.

Chorągiew husarska błyskawicznie rozwinęła się do szarży i już po chwili gnała pod górę z łomotem, dzwonieniem rynsztunku oraz narastającym szumem skrzydeł. Wiatr załopotał proporcami na uniesionych kopianach, ziemia zadudniła pod kopytami masywnych wierzchowców. Pędzący przodem dwaj młodzi oficerowie zrównali się z linią kawalerzystów i po chwili wtopili się między nich.

Kirasjerzy tymczasem zrezygnowali z dokończenia manewru. Nie próbowali też ustawić się do szarży z wyciągniętymi rapierami, jak mieli w zwyczaju. Na widok szarży ciężkiej jazdy, zawrócili konie i bezładną kupą rzucili się do ucieczki.

Dragoni zapanowali nad zamieszaniem w szeregach, zanim jeszcze husaria osiągnęła szczyt wzniesienia, i ruszyli za nią. Grudziński zawrzał gniewem, spostrzegłszy, że komputowi Burattiniego nie dołączyli do walczących, tylko dalej jadą drogą, eskortując wozy. Sam mistrz, na smukłym gniadoszu, pojawił się na przedzie kolumny i popędzał podwładnych. Czyżby brał nogi za pas, nie interesując się przebiegiem starcia ze Szwedami?

Tymczasem husarze, grmiąc niczym nadchodząca burza i trzęsienie ziemi w jednym, wgalopowali na rozległe, płaskie wzniesienie. Kirasjerzy jechali bez widocznego pośpiechu w stronę zagajnika, oglądając się tylko ni to nerwowo, ni to prowokacyjnie. Kilku z nich nawet zawróciło i wypaliło w stronę husarii z bandoletów.

Sobieski zatrzymał chorągiew ruchem ręki. Ciężka jazda, niczym wielka, żelazna maszyna, zatrzymała się z brzękiem i łomotem, z trudem wyhamowując pęd.

- Co wyprawiasz, Janie? - oburzył się Potocki. - Mamy ich na widelcu! Atakujmy!

- Nie żartuj, przecież to aż nazbyt oczywista pułapka. - Jan pogładził wąsy. - Liczą, że mają do czynienia z gorącym, podgolonym łbem, co to nie ma pojęcia o taktyce, za to uwielbia szarżować po polsku.

Spojrzał po twarzach otaczających go towarzyszy husarskich, rwących się do ataku tak samo jak Potocki. Wszyscy udawali, że nie usłyszeli uwagi. Tylko Feliks zaperzył się, biorąc wszystko do siebie. Nabrał powietrza, by rzucić Janowi w twarz soczystą ripostę.

Nie zdążył. Rozległ się trzask łamanych drzew, metaliczny chrzęst, i z zagajnika wytoczyły się cztery czarne potwory. Wnet kolejne wyjechały z zamaskowanych sprytnie dołów w zboczu wzniesienia. Pokryte czarnymi pancerzami, które spojono grubymi jak pięść nitami, na okutych, szerokich na trzy stopy kołach, wyglądały niczym gigantyczne żuki. Wyższe niż jeździec na koniu, brnęły przez trawę, terkocząc i trzeszcząc. Ponad metaliczny jazgot wzbijał się hałas napędu – uwieczonych w szklanych kulach dusz nieszczęśników, szemrzących, zawodzących i mamroczących upiornych chórem.

- A nie mówiłem? – mruknął pod nosem Sobieski.

- Żelazne psy pułkownika Törnskjölda! – Potocki sięgnął po pistolet do olstra. – Matko Przenajświętsza, skąd oni się tu wzięli?

- Mniejsza z tym. – Sobieski machnął ręką, dając sygnał do odwrotu. – Pora zniknąć, nim zaczną strzelać.

Jak na zawołanie, ze zgrzytem łańcuchów podniosły się klapy w korpusach pojazdów, odsłaniając lufy obłężniczych armat. Sześćdziesięciocetnifuntowe kartauny, z pewnością nabite kartaczami, wymierzyły w husarską chorągiew. Feliks pobladł, wyobraziwszy sobie, co by się stało, gdyby Sobieski poprowadził szarżę... Zostawił pistolet w olstrze, przeżegnał się szybko i zawróciwszy konia, pognał z cofającą się husarią.

Kiedy wypadli na drogę razem z zawróconymi również dragonami, dojrzelili w oddali tumany kurzu. To komputowi pierzchali w popłochu. Wozy mistrza Burattiniego kołowały się hałaśliwie na wszystkie strony, pędząc po wybojach z maksymalną prędkością. Woźnice wściekle okładali batami końskie zady i boki, a sam mistrz krzyczał i wymachiwał białą peruką, którą w nerwach zerwał z głowy. Opanował się nieco dopiero na widok nadjeżdżającego Jana.

- Te wozy muszą dotrzeć do zamku w Głogówku! – oznajmił niemal błagalnie. – Ratuj, panie pułkowniku!

Sobieski odwrócił się w siodle. Żelazne psy niemrawo pełzły po wzniesieniu. Wyraźnie zaniechały pościgu; opuściły klapy, ukrywając armaty. Na szczęście piekielne pojazdy nie były w stanie rozwinąć prędkości zagrażającej szybko oddalającym się kawalerzystom. Kirasjerzy też nie palili się, by atakować husarię. Udało się uniknąć rozlewu krwi. Jan odetchnął i uśmiechnął się do Włocha.

- Wszystko będzie dobrze, mistrzu – powiedział. – Jesteś pod opieką nie tyle kogo. Jeszcze dziś bezpiecznie dotrzemy do celu.

Bezchmurne niebo błyszczało milionami gwiazd. Dziedziniec górnego zamku iluminowało odświeżenie kilkadziesiąt pochodni w stojakach i liczne lampy olejowe, wiszące w podcieniach. Ciepła noc pozwalała damom dworu zdjąć wierzchnie okrycia; żółte, rozedrgane światło gładziło ich nagie ramiona, muskało upudrowane lica i mieniło się w starannie ufrizowanych, drobnych loczkach – francuskiej koafiurze chętnie przyjętej przez polskie szlachcianki. Zamiast wianków i staropolskich czepców głowy dam zdobiły lśniące ogniste perły, klejnoty uwielbiane na francuskim dworze.

Królowa siedziała nieruchomo na pozłacanym fotelu i zamyślona patrzyła w ogień. Jako młoda księżniczka słynęła w całej Europie z niezwykłej urody; ćwierć wieku później po dziewczęcym uroku pozostały jedynie ślady – wielkie, jasne oczy i szlachetnie wysokie czoło. Przyglądającemu się jej teraz Feliksowi Potockiemu kojarzyła się nie z dawną piękną, a ze starą, grubą ropuchą. Nie

mógł jej jednak odmówić niewymuszonego dostojenstwa, autorytetu i iscie królewskiej charyzmy, wyczuwalnych nawet wtedy, kiedy się nie odzywała, a jedynie w skupieniu słuchała poezji.

Swoje dzieła recytowała właśnie znana poetessa łacińska Zofia Bernhardi. Uczona dama toczyła literacki pojedynek z dworzaninem-poetą Janem Morsztynem. Na zmianę czytali swoje wiersze, a zgromadzone na dziedzińcu damy oceniały i nagradzały je oklaskami. Które z twórców otrzyma ich więcej, zostanie przez Jej Wysokość udekorowane wieńcem z dębowych liści, udającym laurowy. Skromna zabawa miała zastąpić wystawne teatru, balet i marionety, którymi zwykle bawił się dwór Ludwiki. Po ucieczce z Warszawy nie urządzano hucznych i nazbyt wystawnych zabaw – Głogówek nie dysponował nawet orkiestrą... Zresztą królowa nie życzyła sobie żadnych zbytków, pozostając na zesłaniu i kiedy Polska tak dotkliwie cierpiała.

Trzej oficerowie i mistrz Burattini stali pod ścianą północnego skrzydła, cierpliwie czekając na zakończenie poetyckiego pojedynku. Może wtedy królowa zaszczyli ich swoją uwagą? Póki co, mieli rzadką możliwość przyjrzenia się fraucymerowi, który w całej okazałości wyległ na dziedziniec, by skorzystać z tak pożądanego w wojennym czasie rozrywki. Przy samej Ludwice z jednej strony siedzieli właściciele zamku i przyległości, hrabiostwo Oppersdorffowie, a z drugiej – jej sekretarz i podskarbi Pierre Des Noyers. Dalej, na krzesłach z miękkimi poduszkami, spoczywała świta honorowa, małżonki i córki senatorskie, zarówno polskie, jak i francuskie. Para poetów stała naprzeciw siebie, na środku dziedzińca, otoczonego pierścieniem przez wymieszany dwór górny i dolny, czyli panny z bardziej i mniej znamienitych rodów. Piękne, rozchichotane dziewczęta, poważne damy, spowiednik królowej i jej jałmużniczka, nawet nadworny medyk, spoglądali ciekawie na przybyszy. Nikt nie śmiał jednak zakłócić recytacji, szczególnie że Jej Wysokość, pod wpływem chwytającej za serce liryki, popadła w głęboką zadumę.

Srogie spojrzenia żołnierzy nieustannie krzyżowały się z powłóczystymi, rzucanymi spod długich rzęs spojrzeniami pięknych Francuzek. Powietrze aż iskrzyło, a ognisty efekt potęgowało jeszcze skwierczenie pochodni.

Najpiękniejsza dwórka, niespełna piętnastoletnia Maria d'Arquien, stała w towarzystwie dwóch niewiele starszych panien, które dołączyły do fraucymeru kilka miesięcy wcześniej. Obie traktowały Marysienkę, jak Polacy zwali czarnooką piękność, niczym przewodniczkę w tym dzikim kraju i znawczynię lokalnych obyczajów. Dziewczyna służyła u boku królowej od dziecka i zdążyła się nawet świetnie nauczyć miejscowego, koszmarnie trudnego i niemożliwie szeleszczącego języka. Gabriela Morin i Adrianna de la Roche trzymały przyjaciółkę z obu stron pod ramiona i szeptały między sobą, starając się zachowywać dyskretnie.

– Ci trzej to prawdziwi zbójce. – Gabriela pochyliła się do przyjaciółek. – Dzicy i nieokrzesani, wystarczy spojrzeć w te zacięte twarze, w te błyszczące zwierzęcą agresją oczy!

– Wszyscy oni są tacy, Mario? – Adrianna śmiało patrzyła na oficerów. – Co nie odwiedzają nas polscy szlachcice, to jeden w drugiego gwałtownik i nieokrzesaniec. Spójrzcie tylko, dziewczęta, oni naprawdę są niczym dzikie bestie. Nawet stąd czuć od nich końskim potem, palonym prochem i gorzałką.

– Tak, moje drogie. Polscy panowie są zupełnie inni niż francuska szlachta, łatwo ulegają zarówno gniewowi, jak i radości. Do tego potrafią być gwałtowni niczym arabskie ogiery. – Marysienka spłonęła rumieńcem.

Wszystkie trzy zadrżały i wbiły ciekawe spojrzenia w Polaków, zupełnie nie słysząc pięknych wierszy pana Morsztyna. Oficerowie pochylili się ku sobie, mrucząc półgębkiem.

- Co za tłum upudrowanych ladacznic, w życiu czegoś takiego nie widziałem – westchnął oszołomiony Mikołaj Grudziński. – Od tych perfum zaraz mnie łeb rozboli.
 - One są prawie gołe – dodał Potocki. – Widzicie, jak ognie błyszczą w ich ślepiach? Czarownice, na psa urok. Wszystkie to przekłete wiedźmy. Janku, rozmawiałeś z którąś?
 - Z kilkoma. Jedna z nich, tamta babuleńka obok królowej, to moja ciotka. Wojewodzina podlaska Zofia Wodyńska z Sobieskich. – Młodzieniec uklonił się krewniaczce.
 - Nie chodzi mi o starowinki, ale o te francuskie diablance – syknął Feliks.
 - O tak, z niejedną. Widzicie tamte pod ścianą? Każda to *magnifica ac generosa virgo*. Wykształcone i odcytane, aż miło porozmawiać. Najbystrzejszą jest tamta czarnula. Och, pamiętam każde słowo z naszej rozmowy. Nie mogę zapomnieć tego dziewczęcia, jej czarne oczy i wąska kibić śnią mi się po nocach...
 - A nie mówiłem! – ucieszył się Potocki. – To wiedźmy. Jedna z nich rzuciła na ciebie urok, Janie.
 - Boże uchowaj, by któraś chciała ze mną porozmawiać. – Grudziński przeżegnał się ukradkiem.
- Tymczasem panny, widząc zainteresowanie oficerów, przesunęły się bliżej lampionów, by polscy barbarzyńcy mogli lepiej je widzieć. Niech dzikusy sobie obejrzą, jak wyglądają cywilizowane damy.
- I wtedy on podszedł do ciebie? – ze zgrozą spytała Gabriela.
 - O tak, to było na wiosennym balu, w czasie sejmu w Warszawie – z przejęciem odparła Maria d'Arquien.
 - Który to? – Adrianna z przejęcia ścisnęła dłoń przyjaciółki.
 - Ten wielki, z czarnymi wąsiskami. Och, jaki on przystojny i męski, a jak biegle włada francuskim! – Zadrżała. – Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, mroźnej zimie i muzyce, o polowaniach i nowym balecie wystawionym przez królewskie dwórki, a nawet o polityce! Rozumiecie, spytał mnie o zwalczające się frakcje we fraucymeryze i która z nich popiera plany osadzenia Francuza na polskim tronie. Miałam wrażenie, że mogę powierzyć mu wszystkie swoje myśli i marzenia. Nie mogłam potem spać przez całą noc!
 - A to cham! – syknęła Gabriela. – Patrzcie tylko, jak się na ciebie gapi, jakby od razu chciał zedrzeć suknię. Ale ma wielkie bary, a jakie gromy rzuca za każdym spojrzeniem. Niechby taki dzikus objął kobietę i przytulił, to pewnie połamałby jej wszystkie kości!
 - Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby któryś z nich spróbował mnie pocałować. Ten blondyn na przykład – westchnęła Adrianna. – W życiu nie widziałam tak zwierzęcej postawy i ledwie tłumionej furii w ruchach. Pewnie byłby brutalny, choć ma takie miękkie, chłopięce spojrzenie. Musiałbym go pchnąć sztyltem albo siecią, nie zniosłabym hańby. Oby tylko królowej nie przyszło do głowy wydać mnie na niego! Muszę o tym z nią porozmawiać.
 - Jej Wysokość i tak robi, co uważa za stosowne. – Marysieńka wzruszyła ramionami. – Jeśli ten brutal jest jakimś wpływowym szlachciurą i jego poślubienie będzie strategicznym posunięciem, to chcesz, czy nie, i tak wylądujesz w jego łóżu. I uwierz, królowa wybierze ci najlepszego męża, nikt nie robi tego lepiej.
 - Szybciej rzucę się z okna, niż pozwolę dotknąć któremuś z tych śmierdzących barbarzyńców –

oznajmiła Gabriela. – Chyba że byłby to ten szczupły, z ryngrafem na pancerzu. Może dałoby się jeszcze go wychować, przynajmniej jest pobożny, widziałam, że dyskretnie się przeżegnał.

– Żołnierz zawsze będzie jurny i gwałtowny. To prawdziwe ogiery, moje drogie, nie dadzą się łatwo okiełznać. – Marysieńka uśmiechnęła się lekko.

– A niech tam – westchnęła z rezygnacją Adrianna. – Lepiej już mieć w łożu brutalnego ogiera niż potulnego wałacha. Zresztą ogiera też da się osiodłać!

Dziewczęta zachichotały, zapominając o nastroju skupienia i powagi. Nawet nie zauważyły, że recytacja już się skończyła, a pojedynek uznano za nierozstrzygnięty. Królowa ożywiła się, przywołała do siebie mistrza Burattiniego i trzech kawalerów. Dwórki przesunęły się, by lepiej słyszeć.

Żołnierze podeszli przed tron i klękali, schylając głowy. Włoski naukowiec wysunął jedną nogę w przód, a drugą ugiął w kolanie, jednocześnie zginając się w pas i zamiatając kapeluszem dziedziniec. Oficerowie spojrzeli na niego z ukosa; każdy czuł głęboką pogardę dla francuskich ukłonów, uwłaczających godności prawdziwego rycerza.

– Nasz małżonek przysłał młodzieńczy kwiat swego rycerstwa, by nas ratować. – Ludwika uśmiechnęła się do oficerów. – Nawet nie wiecie, jak bardzo się cieszę na wasz widok, panowie. Wasze przybycie to ostateczny sygnał, że nadeszła pora powrotu. Wszyscy tęsknimy za kochaną Polską, nie możemy doczekać się wyzwolenia Warszawy, naszego ukochanego domu. Serce wypełniła nam rozpacz, gdy dotarły do nas wieści, jak bardzo Szwedzi ukrzywdzili miasto.

– Wasza Wysokość, Warszawa nadal znajduje się w rękach wroga, nie wiadomo jak długo... – zaczął Burattini.

– Wiemy przecież, Tytusie. – Ludwika wstała z tronu i podeszła do przybyszy.

Wszyscy trzej już unieśli się z kolan. Bliskość królowej onieśmiałała młodzieńców; cofnęli się o krok, prócz Sobieskiego, który – bywały na europejskich dworach – uczestniczył w audiencjach u niejednego monarchy.

– Mamy nadzieję, że przywiozłeś serca smoków? – Królowa zwróciła się do Włocha.

– Po to wszak pojechałem. – Burattini skłonił się grzecznie. – Dzięki ofiarności tych oficerów udało się je szczęśliwie przywieźć. Napędów starczy dla wszystkich trzydziestu maszyn. Ponoć rzemieślnicy pracowali podczas mojej nieobecności i dokończyli dzieła. Jutro sprawdzę sprzęt i zamontuję źródła.

– Świetnie. – Ludwika uśmiechnęła się łaskawie. – Zatem może już jutro uda się wyruszyć w drogę do Polski. Sprawilibyś nam tym wielką radość, mistrzu.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Naukowiec uklonił się, kładąc dłoń na sercu.

– Najjaśniejsza pani...

Fraucymer zaszemrał z oburzeniem, karcąc wzrokiem impertynenta. Sobieski nie przejął się jednak i ciągnął:

– Chyba nikt Waszej Miłości nie powiedział o zbliżającym się zagrożeniu...

– Chodzi ci o te kilka szwadronów rajtarii, osłaniających żelazne psy pułkownika Törnskjölda? –

Ludwika po raz pierwszy spojrzała wprost na Jana. – Wiemy, że się zbliżają i właśnie dlatego chcemy jak najszybciej opuścić Głogówek. Oszczędzimy temu miastu nieszczęść. Nie możemy obciążać naszych gościnnych przyjaciół ponad miarę. Zdajemy sobie sprawę, że Szwedzi przybyli tu po naszą głowę i nie odejdą, dopóki nie zrównają całej okolicy z ziemią. Wyruszymy w drogę, a wtedy, być może, podążą za nami i opuszczą miasto.

– Karol Gustaw śmiałyby podnieść rękę na majestat Waszej Wysokości?

– Mój chłopcze, sprawiamy mu więcej kłopotów niż nasz drogi mąż Jan Kazimierz z całą swoją dzielną armią. – Królowa uśmiechnęła się. – Od roku prowadzimy stąd międzynarodową dyplomację, walcząc o dobre imię Polski, oczerniając i wystawiając Szwedów na pośmiewisko. Zależliśmy im za skórę, tak że gotowi są na wiele, by nas uciszyć. Nawet na królobójstwo.

– Dlaczego Wasza Wysokość nie chce bronić się w zamku? – Sobieski nerwowo zastrzygł wąsem. – Jeśli wyruszymy z całym dworem w podróż, dopadną nas na otwartym polu, gdzie nie będziemy mieli najmniejszych szans...

– To w zamku nie będziemy mieli szans – wtrącił się sekretarz królowej, monsieur Des Noyers. – Doskonale wiesz, żołnierzu, jaką artylerię kryją w trzewiach żelazne psy. Podjazdy donoszą, że jadą tu wszystkie baterie z pułku Törnskjölda. Nie trzeba mieć wojennego doświadczenia, by przewidzieć, jak ta siedziba, choćby warowna, zniesie ostrzał tylu armat.

– Ale mury przynajmniej stanowią jakąś ochronę. – Sobieski spiorunował Francuza wzrokiem. – Natomiast kilkadziesiąt wozów ciągnących drogą nie ma żadnej, nie zdoła też poruszać się wystarczająco szybko, by uciec Szwedom. Wyruszenie w tej chwili w drogę to szaleństwo! Trzeba wysłać gońców z prośbą o pomoc i czekać. Możemy zaminować okolicę, wykopać doły zaporowe, prowadzić wypady. Skoro klasztor na Jasnej Górze odparł Szwedów, my też...

– Klasztor ocalał, bo wróg sam zrezygnował – burknął Des Noyers. – Zresztą w tamtym oblężeniu nie brały udziału żelazne psy. Ale dlaczego, pułkowniku, tak się upierasz, by tu pozostać? Cemu ci na tym tak zależy? Jest w tym drugie dno? Może chodzi o jakieś układy z dawnymi przyjaciółmi? Ponoć dobrze znasz pułkownika Törnskjölda...

Francuz zmierzył szlachcica podejrziwym spojrzeniem. Sobieski poczuł rosnącą błyskawicznie falę gniewu. Ten uperfumowany elegant w obszytym koronką kubraku i w peruce na łbie śmiał sugerować mu konszachty ze Szwedami...

Prawdę rzekłszy jednak, do niedawna Jan pozostawał pod zwierzchnictwem Karola Gustawa i dopiero raptem dwa miesiące temu wrócił na służbę do prawowitego króla. Niby wielu Polaków początkowo przeszło na stronę wroga, ale po jakimś czasie i tak uciekało do Jana Kazimierza. Sobieski wyjątkowo długo trwał u boku Karola Gustawa. Tyle że wtedy wydawało mu się to słuszne. Stał po stronie silnego władcy, który miał doprowadzić kraj do porządku, stworzyć z niego prawdziwe imperium. Co za różnica, który Szwed zasiada na polskim tronie? Waza czy Wittelsbach? Zbyt późno Jan zorientował się, że służy u najeźdźcy, który Polskę ma tylko za dojną krowę i zamiast reformować państwo, zwyczajnie je łupi.

– Pierre, nasz młody pułkownik chce dla nas jak najlepiej. – Królowa ucięła kłótnię, zanim ta wybuchła na dobre. – Nie zna naszej tajemnicy, jego niepokój jest w pełni zrozumiały. – Uśmiechnęła się do Jana łagodnie. – Proszę się nie martwić, nad wszystkim panujemy.

Sobieski cofnął się z ukłonem. Królowa straciła zainteresowanie żołnierzami, skinęła na Burattiniego i w towarzystwie jego oraz najściślejszej świty oddaliła się w głąb zamku. Oficerowie stali chwilę w otoczeniu dwórek, z których większość wkrótce też ruszyła do zabudowań. Jan otrząsnął się szybko i

rozejrzał. Tłum rozpraszał się żwawo, służba gasiła lampiony. Wreszcie wypatrzył ją. Stała nieopodal, ładnie się do niego uśmiechając. Zanim zdążył do niej podejść, dwie dwórki pociągnęły ją ze sobą i Maria d'Arquien znikła w wejściu do jednego z zamkowych skrzydeł.

Poranny wiatr przyniósł ze sobą swąd spalenizny. W oddali, w niebo na północy, pięły się liczne kolumny czarnego dymu. Plądrując i niszcząc wieś Rzepcze, Szwedzi dali znak, że droga na Opole jest zablokowana. Nim dobiegło południe, dymy pojawiły się i na wschodzie. Płonęły Stare Kotkowice, leżące przy drodze na Kędzierzyn. Gospodarz zamku, hrabia Oppersdorff, wysłał kilka podjazdów; dwa oddziały nie wróciły, pozostałe ledwie uszły przed kirasjerami. Szwedzi panoszyli się w okolicy, jakby byli u siebie. Grudziński i Potocki rwali się, by ruszyć do boju, ale Sobieski nie chciał o tym słyszeć. Ciekawiło go jaką niespodziankę szykowała królowa i co takiego montował Burattini w warsztatach za zamkiem. Niestety nikt nie próbował wtajemniczyć żołnierzy w plany. Zakwaterowano ich w budynkach gospodarczych dolnego zamku i właściwie odcięto od życia dworu. Nie zaproszono nawet na posiłek w towarzystwie fraucymeru i wydano taką samą żywność co innym żołnierzom.

Oficerowie obiadowali pod gołym niebem, za plecami mając kuźnię i stajnię.

- Kasza ze skwarkami i kubek kwaśnego piwa - oburzył się Potocki. - Co to ma być? Jakim prawem karmią nas, polską arystokrację, odpadkami? Te francuskie wiedźmy mają nas za świnie, czy co?

- Jest jeszcze cebula, chleb i twaróg - zauważył Jan, z chrzęstem żując kawał tej pierwszej i zagryzając kęsem tego drugiego.

- Jestem synem hetmana wielkiego! - zaperzył się Feliks. - Nie byle chłopem, bym żarł surowe warzywa. Gdzie mięso? Gdzie miód lub choćby węgrzyn? Pójdę tam zaraz...

Złapał za rękojeść szabli, podrywając się od stołu. Grudziński chwycił kompana za ramię i usadził w miejscu.

- Czekaj, panie kolego! Nie bądź taka gorąca głowa. Co zamierzasz? Walić pięściami w bramę i domagać się półgęska?

- Wyjdziemy na dzikusów. I tak niektórym Francuzom wydaje się, że jadamy gołymi rękoma i tylko surowe mięso. - Jan machnął niedbale ręką i pociągnął łyk piwa. - Wiem, bo zwiedziłem całą Francję i wszędzie patrzyli na mnie jak na barbarzyńcę, co ledwie wylazł z jaskini. Są przekonani, że nie używamy pościeli i łóżek, tylko śpimy na gołej ziemi, przykryci wilczymi skórami. Nie znamy łaciny i dziejów Rzeczypospolitej Rzymskiej, nie używamy chusteczek i pantalonów, ale za to każdy z nas potrafi w walce wręcz pokonać niedźwiedzia.

Na twarz Potockiego wypełzły rumieńce, kontrastujące mocno z płową czupryną i przydające mu aparycji typowego warchoła, nadużywającego gorzałki i skorego do bijatyk. Nie umknęło to uwadze pozostałych, którzy spojrzeli na siebie porozumiewawczo - ich przyjaciel będzie teraz tylko szukał pretekstu do bitki. Zanosilo się na awanturę...

Jak na zawołanie zza rogu pobliskiej kuźni wyłonił się łysy dworzanin w skromnym, czarnym stroju.

- Jeśli pozwolicie, szlachetni panowie, to zdradzę wam, kto jest odpowiedzialny za tak niegodne potraktowanie waszmościów - oświadczył bez żadnych wstępów.

- Kim waćpan jesteś? - spytał Grudziński, mrużąc oczy.

- Karol Ludwik Conrade, nadworny lekarz jej królewskiej mości - przedstawił się medyk. Mówił z mocnym obcym akcentem.

- Czego chcesz, żabojadzie? - mruknął groźnie Feliks.

- Pochodzę z Italii - obruszył się lekarz. Garbił się nad siedzącymi szlachcicami, przez co wyglądał niczym wielki kruke. - I przychodzę do was z własnej woli, by uprzejmie i uniżenie donieść, że za wszystkim stoi monsieur Des Noyers. To wpływowy i groźny człowiek, który uznał was za wrogów korony...

- Mów dalej. - Grudziński wskazał mu miejsce przy stole, ale medyk tylko rozejrzał się niepewnie, by sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje.

- Król wybrał was na eskortę Burattiniego - podjął śpiesznie - by Ludwika mogła obejrzeć i zdecydować, czy da się z waszmościów uczynić stronników francuskiej frakcji. Przyszłość kraju należy do takich jak wy, młodych potomków wielkich magnackich rodów. Zostaniecie hetmanami i wojewodami, to wy będziecie decydować na przyszłych sejmach, rozdawać karty w wielkiej polityce...

- Dobra, dobra. - Potocki patrzył na niego spode łba. - Przejdź waćpan do rzeczy.

- Des Noyers ma jakiś interes, jeszcze nie wiem jaki, ale znając tego lisa - ściszył głos - podejrzewam, że chodzi o pieniądze lub o opanowanie kolejnej sfery wpływów, by zdyskredytować was w oczach Jej Wysokości. Przedstawił królowej drobiazgowo opisy panów, diabli wiedzą przez kogo przygotowane, pewnie przez niego samego, a przedstawiające szanownych oficerów w bardzo złym świetle. I tak - Conrade wyciągnął zza pazuchy zrulowany dokument, rozwinął go i podsunął Potockiemu pod nos - o panu, panie Potocki, stoi tu kilka pikantnych szczegółów. Opisane są twoje wybryki, poruczniku, na sejmikach, udział w licznych pijackich burdach, spalenie karczmy, pocięcie szablą jakiegoś Żyda i posądzenie o ojcostwo dziecka pewnej młynarzówny. Pan Grudziński przedstawiony jest natomiast jako utracjusze, lubiący gry w kości i karty, a do tego tchórze, który wycofał się rakiem po wyzwaniu na pojedynek przez Kijeńskiego ze Lwowa. Pułkownik Sobieski to z kolei zdrajca i sprzedawczyk, łopoczący jak chorągiewka w zależności od tego, w którą stronę wiatr zawieje. Przetawia się go jako skąpego i pazernego na pieniądze dorobkiewicza, gotowego porzucić suwerena za garść złota.

- Starczy - warknął Jan i wyrwał z ręki dworzanina pismo. - Czego chcesz?

- Ktoś musi wreszcie pokazać Des Noyersowi, jak okrutnie błędzi. - Medyk zatarł ręce. - Panowie, to szkodniczy intrygant i wesz na królewskim dworze. Trzeba go zgnieść jak najszybciej. Sącze jad do ucha królowej, próbuje nastawić ją przeciw polskiej szlachcie i nieustannie umacnia swoje wpływy. Niedługo dojdzie do tego, że to on faktycznie będzie rządził Rzeczpospolitą. Zróbcie to dla ojczyzny, zabijcie drania! Pewnie jeszcze dziś nadarzy się okazja, w zamieszaniu przy załadunku smoków. Dam znać, gdy znajdzie się sam, bez swoich pomagierów. Wystarczy jeden cios czekanikiem w łeb...

Jan poderwał się od stołu i złapał medyka za kubrak pod szyję. Potrząsnął przerażonym nieszczęśnikiem i wycedził przez zęby:

- Jak śmiesz proponować rycerzowi skrytobójstwo? Myślisz, że damy się wciągnąć w gierki dworskich szurów? - Pchnął Conrade, aż ten usiadł ciężko na ziemi. - Zatrzymuję dokument, sprawę natomiast załatwimy po naszymu. A teraz idź do diabła, zanim moi kompani otrząsną się i posiekają cię na plasterki.

Medyk rzucił się na czworakach do ucieczki, potem poderwał na równe nogi i kilkoma susami oddalił za róg stajni. W ostatniej chwili, bo Potocki w międzyczasie dobył szabli i przymierzał się do wypełnienia groźby Sobieskiego. Grudziński spokojnie pociągnął łyk piwa i skrzywił się z niesmakiem.

- Co to za błazen? Czemu chciał nas poszczuć na tego Francuzinę? - spytał bez wyczuwalnych emocji w głosie.

- Rozgrywki na szczycie. - Sobieski nieznoszącym sprzeciwu gestem wskazał Potockiemu miejsce z powrotem przy stole. - Dziś rano udało mi się spotkać pannę d'Arquien i odbyć z nią inspirującą rozmowę. Dowiedziałem się między innymi, że fraucymer podzielony jest na dwie zwalczające się frakcje. Jednej przewodzi sekretarz królowej, a drugiej jej lekarz. Właśnie próbowano wciągnąć nas do ich porachunków. Zlekceważyłbym to, gdyby nie ten paszkwil. Czy faktycznie monsieur Des Noyers go przygotował, a jeśli tak, to po co? Czemu zależy mu, by odsunąć nas od królowej?

- Trzeba znaleźć tego upudrowanego dworaka i poważnie z nim porozmawiać - stwierdził Grudziński.

Wtem gdzieś w oddali rozległ się głuchy grzmot, a po nim kolejny. Powietrze przeszył rosnący gwizd. Żołnierze skulili się odruchowo. Gdzieś przed murem dolnego zamku gruchnęły w ziemię artyleryjskie pociski. Potocki wsunął szablę do pochwy i chwycił miskę z pogardzaną kaszą. Zabawy w grymaszenie ostatecznie się skończyły, możliwe, że miał ostatnią okazję przed bitwą, by napchać brzuch.

- Musimy się pośpieszyć - mruknął, ładując do ust łychę.

Warsztaty stanowiło kilkanaście drewnianych bud, sprawiających wrażenie skleconych naprędce, co zresztą było prawdą, i ustawionych w okręgu o promieniu stu kroków. Utworzony w ten sposób dziedziniec wypełniały monumentalne konstrukcje z drewna i żelaza. Każda z nich mniej lub bardziej przypominała ogromnego, groteskowego smoka, z łbem o rozwartej paszczy wykutej z blachy i spojonej nitami. Każdy gad stał twardo na czterech krótkich łapach, masywny korpus opierając o ziemię. Pochylone łby i grzbiety o czterech parach skrzydeł przywodziły na myśl gromadę potworów sposobiących się do ataku.

Miedzy smokami trwała gorączkowa bieganina, kręcili się kowale i mechanicy, ciągle coś poprawiając. Służba ładowała do trzewi bestii kufry i paki, przepychała się między muszkietierami królowej, wnoszącymi na pokłady broń i beczki z prochem. Strefy spokoju i ciszy zapadały tylko wokół przechadzającego się orszaku. Ludwika, odziana w błyszczącą jedwabiem suknię, łaskawie wizytowała plac i podziwiała maszyny. Posłusznie dreptało za nią blisko pięćdziesiąt dwórek, w tym damy z magnackich rodów, które schroniły się u niej przed szwedzkim potopem. Oprawdzał je osobiście Bugattini, spocony i zły, że przeszkadza mu się w tak ważnym momencie.

- Najjaśniejsza pani, przedstawiłem przecież dokładne obliczenia, z których jasno wynika, ile może ważyć ładunek. - Naukowiec wymachiwał rękoma, miotając się między trapami prowadzącymi do smoczych brzuchów. - Dlaczego służba ładuje tyle skrzyń? Przecież maszyny nie oderwą się od ziemi!

- Och, to skarby dziewcząt. - Królowa uniosła brwi jak gdyby zmieszana. - Bezcenne suknie, toalety, biżuterie, różne fatałaszkę, z którymi nie potrafią się rozstać. Nie da się ich jakoś upchnąć?

- Prawa natury są nieubłagane. Jeśli będziemy mieli zbyt duże obciążenie, żadna z *machines de Pologne* się nie podniesie.

- Słyszeliście, moje drogie? Kufry zostają w Głogówku – królowa podjęła szybką decyzję. – Wyładować i to już!

Rozległ się szmer niezadowolenia, ale tylko jedna z panien, pochodząca ze starożytnego rodu, *dame d'honneur*, Amata de Langeron, odważyła się głośno zaprotestować. Ludwika pozostała jednak nieugięta, nawet gdy panna wobec konieczności porzucenia pamiątek i drogocennego wyposażenia buduaru, z bursztynowym sekretarzykiem na czele, ostentacyjnie zemdląła. Przyglądające się temu brawurowo zagrzanemu atakowi hysterii trzy młode dwórki złośliwie zachichotały.

- Wreszcie Jej Wysokość przytarła nosa tej zołzie – syknęła Gabriela Morin. – Gdyby tak jeszcze wybrała jej na męża jakiegoś starego i grubego szlachciurę z podolskich borów i wysłała ją w dziką głuszę...

- Pomarzyć zawsze wolno, ale obawiam się, że nic z tego nie będzie – westchnęła Adrianna. – Amata przyczepiła się do królowej jak pijawka i nie puści, dopóki będzie ciekła drogocenna krew. Musimy przywyknąć do jej towarzystwa: z nią przynajmniej da się porozmawiać, nie to co z tą wiecznie rozmodloną jałmużniczką Bichebois de Villers. Zresztą to teraz nieważne. Mario, opowiedz wreszcie, czy widziałas te maszyny w działaniu?

- Tak – przytaknęła panna d'Arquien – ale wieki temu. – Miałam może siedem lat. Świetnie jednak to pamiętam. Mistrz Burattini urządził pokaz w Warszawie, na dziedzińcu zamku królewskiego. Smok wydawał mi się wielki, choć przy tych tutaj sprawiał wrażenie zabawki. Drewniany korpus, skrzydła powleczone świńską skórą. Wyglądał trochę jarmarcznie, trochę jak przerośnięta marioneta, wiecie, jedna z dworskiego teatrum. Mistrz wsadził do niego kota i nakręcił sprężynę. Maszyna zaczęła wściekle łopotać skrzydłami, a kociak przeraźliwie miauczeć. Wszyscy się śmiali, chyba tylko ja byłam przerażona. Smok uniósł się w powietrze i wzleciał na wysokość dachu. Latał jakiś czas, krążył nam nad głowami, ale napęd na mechanicznie nakręcaną sprężynę szybko się wyczerpał i pojazd gruchnął o bruk. Kot wyszedł z tego żywy, choć trochę poturbowany, przestał nawet miauczeć, tylko na wszystkich syczał. Mistrz dostał wielkie brawa, ale zarzucił dalsze eksperymenty, tłumacząc się brakiem odpowiedniego źródła mocy, które pozwoliłby wydłużyć lot i zapewnić bezpieczne lądowanie. Mimo to *machine de Pologne* stała się słynna na cały świat. Pierwszy pojazd, który machaniem skrzydeł unosił się w powietrze. Szczytowe osiągnięcie nauk! I spełnienie odwiecznych marzeń ludzkości o lataniu...

Dziewczęta słuchały, jednocześnie przyglądając się postawnym muszkietierom, którzy – w porównaniu do polskich oficerów – wydawali im się dziś jacyś nazbyt delikatni i przesadnie eleganccy. Dopiero po dłuższej chwili dotarł do nich sens opowieści Marysieńki.

- Wysłał w powietrze kota i tyle? – Gabriela stanęła jak wryta. – I po wieloletniej przerwie zbudował od razu całą flotę? Bez wcześniejszych eksperymentów i ćwiczeń? Nie wsiałam!

- Twierdzi, że wszystko obliczył, sprawdził i nawet odbył lot próbny – uspokoiła ją Marysieńka. – Co najważniejsze udało mu się skonstruować serca smoka, czyli źródła mocy pozwalające napędzać mechanizmy *Dragons Volants*, nawet tak wielkich, a co najważniejsze, umożliwi im bezpieczne lądowanie.

- Co to za serca? Mają coś wspólnego z teorią witalizmu, prawda? – niepewnie spytała Adrianna. – Przed wyjazdem do Polski mistrz coś nam o tym opowiadał...

- Tylko wtedy, zamiast słuchać, zajęte byliście wyśmiewaniem któregoś z jego niezdarnych

pomagierów. – Marysieńka pokręciła głową. – Oczywiście, że w oparciu o witalizm. W samym założeniu serca są tym samym co szklane klatki napędzające żelazne psy.

– Dusze. – Gabriela przełknęła ślinę, błędąc w jednej chwili. – Żelazne psy napędzane są energią dusz.

Burattini pokazywał Ludwice pojazd flagowy, o burtach szczelnie okutych blachami i smoczym łbie ozdobionym żelazną koroną. Marysieńka tymczasem wypatrzyła otwartą drewnianą skrzynię, z której kilku podręcznych wyciągało właśnie owalny głaz, wyglądający jak trochę nieregularne jajo. Trzy dwórki zostały z tyłu, gdy orszak powoli oddalał się przez labirynt smoków.

– Patrzcie, dziewczęta, to serce smoka.

– Burattini zaklął w nim ludzkie dusze? – Gabriela cofnęła się, zasłaniając dłonią usta. – To okropne!

– Nie, alez skąd! Dusze posiadają nie tylko ludzie, ale wszystko, co żyje. – Panna d’Arquien śmiało podeszła do artefaktu. – Wiecie, skąd się wzięła nazwa „żelazne psy”? Szwedzi początkowo montowali w nich szklane klatki wypełnione psimi duszami. Dopiero potem, gdy dowódcą mobilnej artylerii został pułkownik o nazwisku, którego nie jestem w stanie zapamiętać, Szwedzi zaczęli wypełniać klatki duszami zabitych wrogów. Mówi się, że pułkownik ostatnimi czasy zupełnie oszalał i rozkazał napychać je także duszami własnych poległych żołnierzy.

– Potworność. – Adrianna zadrżała. – Po co to robi?

– Ludzkie istnienia niosą ze sobą więcej energii od zwierzęcych, ponoć potęgowanej przez fakt posiadania przez ludzi świadomości. – Marysieńka zrobiła mądrą minę. – Poza samą zwierzęcą witalnością ludzie dysponują także mocą umysłu. Dlatego ludzkie dusze są tak potężne. Mimo to Burattini nie zdecydował się montować klatek wypełnionych nimi, królowa się nie zgodziła. Wyglądało na to, że *machines de Pologne* pozostaną niedokończonym projektem, aż tu wczesną wiosną dotarły do nas wieści, że w kamieniołomach świętokrzyskich wykopano skamieniałe ciała prawdziwych smoków...

– Słyszałam o tym! – przytaknęła Gabriela. – Przywieziono wtedy kawał szczęki z zębiskami wielkimi jak dłoń. Strach pomyśleć, jak ta bestia wyglądała za życia...

– Mistrz zrobił pomiary i okazało się, że w kamieniu tli się dusza. Należało odnaleźć jak największy fragment ciała smoka i wyekstrahować z kamienia całą istotę. W tych potworach, wielkich jak zamczyska, płonęła ogromna moc. Ich energia życiowa była niezwykle potężna – wyjaśniła Marysieńka. – To dlatego Burattini wyjechał, zostawiając prace przy budowie maszyn. Odnalazł kamienne cmentarzysko i wtłoczył znalezione smocze dusze w granitowe serca, w środku których drżem krysztali podobne do tych wiążących dusze w klatkach żelaznych psów.

Dwórki westchnęły chórem. Coś takiego robiło wrażenie...

Wtem z oddali dobiegły głuchoe grzmoty. Robotnicy zaczęli krzątać się jeszcze szybciej, gdzieś obok przegalopowało kilku jeźdźców. Muszkieterzy poruszali się już tylko biegiem, na trapach załomotały ich buciory. Rozległy się głosy trąbek.

– Zaczęło się– szepnęła Gabriela. – Szwedzi atakują...

Gwizd spadających kul mroził krew w żyłach i zmuszał żołnierzy do kulenia się oraz szukania schronienia. Eksplozje gruchotały mur dolnego zamku, rozbiły już bramę i zaczynały spadać na dziedziniec i stajnie. Płonęła trafiona zapalającym pociskiem kuźnia, a z roztrzaskanych szop wybiegły z gładkimi przerażone kury. Pierwszych rannych znoszono już do kaplicy; medyk na służbie hrabiego Oppersdorffa miał pełne ręce roboty. Husarze i dragoni, wszyscy w pełnym rynsztunku i gotowi do walki, stali przy koniach w oczekiwaniu na rozkaz do ataku.

Tymczasem trzej oficerowie pognali gdzieś bez słowa wyjaśnienia. Przepychali się przez tłum cisnący się do smoczych brzuchów. Przy akompaniamencie krzyków, przekleństw i płaczu kłębiła się tu przemieszana zbieranina dworaków – zarówno tych z górnego dworu, łącznie z królewskim kanclerzem, podczaszym, krajczym i koniuszym, jak i tych z dolnego dworu, w którym największy jazgot robiła grupa serwitörów pod przewodem dwóch grubych kucharzy i kilku kredensowych. Nad wszystkim próbowała zapanować gwardia złożona z umundurowanych z francuska muszkieterów. Hałas wzmożył się jeszcze bardziej, gdy któryś ze smoków uniósł łeb i rozprostował cztery pary skrzydeł. Łopotał nimi coraz szybciej, wzbijając tumany kurzu i furkocząc ogłuszająco, a po spuszczonej trapie do środka ciągle wbiegali ludzie. Wreszcie maszyna drgnęła, wejście zamknęło i pojazd chwiejnie uniósł się w powietrze. Zakołysał się niepewnie, wywołując krzyki przerażenia wśród pasażerów oraz stojących na ziemi gapiów. Po chwili jednak wyrównał lot i mozolnie wzniósł się nad wierzchołki drzew. Z otworów strzelniczych w jego brzuchu zaczęły wychylać się co śmielsi pasażerowie, machając do ludzi na dole.

- Matko Boska i wszyscy święci... - Rotmistrz Grudziński przeżegnał się z rozmachem. - Nie wierzę własnym oczom!

- Potęgą nauki! Coś pięknego! - Potocki dla odmiany wpadł w zachwyt.

- Zamiast gapić się w niebo, szukajcie Des Noyersa, bo nam odleci, ptaszek jeden. - Sobieski popchnął jakiegoś podręcznego, który zastąpił mu drogę, obalając go na ziemię.

Spieszyło mu się, by dopaść francuskiego oszczercę i jeśli nie wygarbować mu skórę, to choć rozkwasić nos. Pułkownik zostawił w związku tym podległe chorągwie sobie samym. Nie zaniepokoiło to jego kompanów, a wręcz przeciwnie - postanowili mu towarzyszyć, by również szukać pomsty. Nawet gdyby trzeba było wyciągnąć sekretarza Ludwiki wprost z jej smoka flagowego.

Kolejny żelazny potwór z furkotem i w tumanach kurzu poderwał się w powietrze. Po chwili następny. Tłum zaczął jeszcze żywiej cisnąć się na pokład, dzieciaki służby wrzeszczały wniebogłosy, przekrzykując nawet ryk eksplozji i huk unoszących się machin. Zewsząd dobiegały polskie i francuskie klątwy. Kanclerz dworu, Stefan Wyżga, próbował jeszcze kierować załadunkiem, ale wyraźnie nie panował nad zamieszaniem. Sobieski odepchnął go, dostrzegając wielkiego gada w żelaznej koronie. Przed jego trapiem stały trzy dwórki; dwie próbowały wciągnąć do środka trzecią, piękną pannę d'Arquien. Skrzydła królewskiego smoka już się rozłożyły i zaczynały łopotać. Jan pognął do dziewcząt, roztrzaskując i przewracając ludzi.

- Marysieńko! - Starał się przekrzyczeć hałas. - Nie wierz w to, co o mnie powtarza Des Noyers! To wszystko kłamstwa!

- Ten wielkolud czegoś od ciebie chce. Pewnie porwać w zamieszaniu i zhańbić! - pisnęła Gabriela. - Uciekajmy do środka!

- Puście! Ja zostaję! - D'Arquien szamotała się w uściskach przyjaciółek.

- Jeszcze czego! Królowa by nas zabiła. - Adrianna trzymała mocno. - Przecież traktuje cię jak

rodzoną córkę. Właż, do cholery!

- Patrzcie, są też ci dwaj kawalerowie. - Marysieńka chwyciła się ostatniej szansy.

Podziałało. Jedna i druga natychmiast dały jej spokój, nie rwały się też, by same uciec po trapie, za to szybko spróbowały poprawić nieco zmierzwioną garderobę. Wiatr, wzbijany przez smoki, szarpał jednak nieubłagane suknie i burzył misterne loczki okalające śliczne buzie. Kawalerowie podbiegli do pojazdu i ukłonili się w pas. Potocki podkręcił wąsa, a Grudziński wyszczerzył połamane zęby w szarmanckim uśmiechu.

- Marysieńko, powiedz królowej, że wszystko, co napisano w tym piśmie, jest nieprawdą. - Sobieski wręczył jej dokument. - Ktoś próbuje oczernić polską szlachtę w oczach jej wysokości. Nie jesteśmy tchórzami, zdrajcami i zbójami. Jeszcze to udowodnimy!

Dwórka przyjęła dokument z nieśmiałym uśmiechem i dygnięciem, jakby oficer wręczał jej osobisty podarek.

- Mamy lądować w Opolu i spędzić tam kilka dni. Może zdążycie do nas dołączyć i wszystko osobiście wyjaśnić królowej - powiedziała. - Ze swej strony spróbuję załagodzić złe wrażenie.

- Des Noyers jest na pokładzie? - spytał Potocki. - Mamy z nim do pogadania...

- Obawiam się, że uda się to wam dopiero w Opolu, za chwilę odlatujemy. Ach, ponoć mamy na chwilę zatrzymać się w pobliskim klasztorze ojców paulinów w Mochowie. Królowa musi odebrać od zakonników jakiś cenny obraz, którym się opiekowali.

- Czego oni chcą? Może i my możemy jakoś pomóc? - zainteresowała się Gabriela, nierozumiejąca ani słowa z rozmowy prowadzonej po polsku.

- Chwałę twe błękitne oczy, głębokie jak studnia, piękna panno - wydukał łamaną francuszczyzną Grudziński i pocałował dwórkę w dłoń.

Gabriela zatrzepotała rzęsami i uśmiechnęła się najładniej jak umiała. W wejściu do brzucha smoka pojawił się oficer muszkietierów w towarzystwie kilku żołnierzy. Zaczął wrzeszczeć po francusku i wskazywać coraz szybciej łopoczące skrzydła. Sobieski objął Marysieńkę i na chwilę przycisnął do piersi. Dziewczęta wbiegły po trapie, który natychmiast zaczął się podnosić.

- Do zobaczenia, Janie! - krzyknęła d'Arqueuin, machając energicznie.

- *Au revoir!* - zasalutował Sobieski.

Smok powoli uniósł pysk, wiatr wzbijany przez skrzydła przeszedł w huragan. Mężczyźni musieli się cofnąć, osłaniając rękoma oczy. Maszyna majestatycznie wzniosła się w powietrze, żelazny łeb z czarną koroną błysnął w słońcu. Królowa wystartowała!

Cały efekt popsuł narastający gwizd spadającej kuli. Kilka osób rzuciło się na ziemię, żołnierze pochyliли tylko głowy, szykując się na wybuch i grad odłamków. Gruchnęło gdzieś z tyłu. Sześćdziesięciofuntowy pocisk trafił narożną wieżę i wbił się w nią głęboko. Pokruszone kamienie zafurkotały w powietrzu, zadzwoniły o smocze pancerze. Ktoś został ranny, bolesny krzyk przebił się nawet przez huk startujących maszyn. Trapy unosiły się jeden po drugim, pechowcy, którzy nie zdążyli na pokład, miotali się między smokami, krzycząc błagalnie. Tymczasem trafiona wieża, dudniąc złowieszczo, przełamała się w połowie i z potwornym łomotem zwała na bruk dziedzińca. Smoki podrywały się jeden za drugim, kołysały, wznosiły i opadały chaotycznie. Jakimś cudem żaden

nie gruchnął z powrotem na ziemię. Wkrótce wszystkie bezładną chmarą podążyły za oddalającą się królową.

- Słyszeliście, panowie? - Potocki wziął się pod boki. - Królowa, zamiast wracać jak najszybciej do jego wysokości Jana Kazimierza, leci po jakiś obrazek. Pewnie nastrojowy widoczek Paryża lub coś równie banalnego. Ech te baby, wszystkie są takie same!

- Same wiédźmy, tak jak mówił. Widzieliście te gładkie lica, te biusty. O Chryste - zacharzał Grudziński. - Dziwne, że leca machiną Burattiniego, a nie na miotłach!

- Z bliska dwórki robią wrażenie, prawda? - Sobieski uśmiechnął się. - Ale na takich chwatach pewnie uroku nie rzuciły?

- A skąd! - Potocki podkreślił węża na samo wspomnienie panny Adrianny. - Na pohybel wiédźmom!

- Tfu! - zawtórował Grudziński. - Ohyda!

Stali bez słowa na zawałonym porzuconym dobytkiem placu, patrząc na oddalającą się powietrzną flotę. Szwedzkie armaty grzmiały nieustannie, bombardując zamek. Porucznik Potocki wreszcie westchnął głośno i uśmiechnął się do kompanów:

- Rozprawmy się z tymi cholernymi Szwedami i jedźmy czym prędzej do Opola.

- Oczywiście tylko po to, by dopaść Des Noyersa i zmyć plamę na honorze - dodał Grudziński.

Sobieski skinął niby to poważnie głową.

- Oczywiście, to jedyny powód.

Marysieńka dotarła do obszernego kokpitu tylko dzięki uporowi. Musiała pokonać siedzący na pakach i skrzyniach tłum dworzan oraz oburzone spartańskimi warunkami damy dolnego dworu. Potem minęła muszkietierów, montujących broń na forkietach przed otworami strzelniczymi, i ich rozdrażnionego kapitana. Wreszcie przepchnęła się do kabiny na smoczym grzbiecie z obszernymi, bardzo szerokimi oknami, za którymi przesunęło się niebo i tkwił tył gadziego łba na długiej szyi. Królowa stała obok jednego z ludzi Burattiniego, trzymającego nietypowe koło sterowe. Prócz obracania nim na boki mógł je pochylić do siebie lub pchnąć w przeciwnym kierunku, regulując w ten sposób wznoszenie lub opadanie maszyny. Kilka kroków za jego plecami w podłodze znajdowała się dwuramienna kłapa, zamknięta na kilka skobli. Burattini skakał po całym pomieszczeniu, przepychając damy honorowe, by dokręcać lub odkręcać zawory znajdujące się w oplatającym całe pomieszczenie orurowaniu. Całość maszynierii sprawiała wrażenie zupełnej improwizacji, które dodatkowo pogłębiała surowość kokpitu pozbawionego ozdób lub choćby osłon maskujących toporne urządzenia.

Królowa przysłuchiwała się trajkotaniu Burattiniego, omawiającego działanie maszynierii i narzekającego, że zabrakło mu czasu na sprawdzenie masy rzeczy i odbycie większej ilości lotów próbnych. Nie zostały ustalone żadne sposoby nawigacji ani porozumiewania się z innymi smokami lub ziemią. Obawy budziła też sprawność pojazdu, który nie przeszedł ani jednej próby wydajnościowej. Same obliczenia, choć zaprzężono do nich wszystkie trzy należące do królowej Pascaliny, nie mogły zastąpić fizycznego przetestowania *machines de Pologne*.

Ludwika miała już chyba dość męczącego marudzenia naukowca, bo wreszcie zauważyła przestępującą z nogi na nogę pannę d'Arqueuin; natychmiast przywołała ją do siebie.

- Coś się stało, moje dziecko?

- Najjaśniejsza pani, wręczono mi ten oto ohydny paszkwil z prośbą o wstawiennictwo. - Maria dygnęła przed Ludwiką i podała jej pismo otrzymane od Jana. Królowa rozwinęła je i mrużąc oczy, przejrzała pobieżnie. - Opisani w nim rycerze czują się dotkliwie skrzywdzeni tymi oszczerstwami i błagają, by Wasza Miłość nie dawała im wiary.

- Ach, już to czytałyśmy. Zwykłe badanie przygotowane przez Pierre'a. - Ludwika wzruszyła ramionami. - Zazwyczaj jest bardzo rzetelne, dlaczego miałybyśmy w nie nie wierzyć?

- Ja nie wierzę! - zawołała Marysienka. - To szlachetni i dzielni rycerze, te opisy zupełnie do nich nie pasują. Z całą pewnością badanie zostało sfalszowane i to w odrażający sposób. Wróg próbuje do reszty skłócić Waszą Wysokość z polską szlachtą. Musimy to powstrzymać! Proszę nie odtrącać tych rycerzy!

- Uspokój się, proszę. - Królowa przekazała dokument stojącej obok ochmistrzyni fraucymeru. - Ile prawdy tkwi w tym badaniu, dowiemy się już niebawem. Mam nadzieję, że ci trzej chłopcy nie są tylko narwanymi, podgolonymi łbami, ale faktycznie zasługują na miano rycerzy. Cierpliwości, dziecko.

Marysienka ukloniła się, pokornie spuszczać wzrok. Audyencja została zakończona.

- Ufam waszej mądrości, najjaśniejsza pani.

Pokład nagle się zakołysał i przechylił. Rozległy się okrzyki wzburzonych i wystraszonych dam, ale to tylko sternik robił zwrot. Królowa została poprowadzona do fotela przymocowanego do podłogi, a Burattini w jednej chwili przestał się miotać i doskoczył do największego, przedniego okna.

- Niżej, jeszcze niżej! - Rozkazał sternikowi. - I zwolnij, zwolnij, cymbale jeden!

Marysienka poleciała w przód, razem z całym tłumem. Złapała się żelaznej rury przebiegającej wzdłuż ściany. Metal był przeraźliwie zimny, jakby przewód wypełniał sam lód, ale dziewczyna nie puszczała. Księżna Radziwiłłowa runęła jak długa, panna Durent przeleciała przez cały kokpit i uderzyła we framugę okna. Na wytworną suknię bryznęła krew ze skaleczonego czoła. Kobieta krzyknęła rozdzierająco, a potem zaklęła po francusku, szpetnie i zupełnie nie dworsko. Na pomoc poszkodowanej rzucił się któryś z serwitorów Burattiniego, ale smok znów się zakołysał i mężczyzna upadł na kolana. Jedna z dziewcząt zaczęła szlochać spazmatycznie, inna wyć na cały głos. Zakrwawiona panna Durent nie zdążyła dobrze się rozpłakać, gdy tuż obok jej głowy z brzękiem rozbryznęła się szyba. Dama rzuciła się na ziemię, przerażona, ale cała. Kula, wystrzelona ze szwedzkiego muszkietu, ominęła ją i trzasnęła w sufit. Kolejne pociski zadudniły o brzuch smoka, zagwizdały wokół maszyny.

- Jesteśmy nad pozycjami nieprzyjaciela - niepotrzebnie oznajmił kanclerz Wyżga.

- Mistrzu, zniszcz ich - lodowatym tonem rozkazała Ludwika.

Burattini dał znak. Komputowi otworzyli skrzynie poustawiane pod tylną ścianą, zganiając z nich wcześniej kilka panien. Wyciągali ze środka metalowe, długie na dwie stopy tuleje, z jednej strony zakończone stożkami, a z drugiej lotkami rodem ze strzał i bełtów.

- Wasza Miłość pozwoli. - Naukowiec uklonił się królowej. - Śmiałem nazwać te nowoczesne bomby, przeznaczone do ataków z powietrza, na waszą cześć. Oto Gniew Królowej!

Dwóch komputowych otworzyło klapy w podłodze. Do środka natychmiast wdarł się wściekły huk łopoczących skrzydeł i porywisty wicher niosący gryzącą woń dymu. Marysieńka mocniej przywarła do rury, ale po chwili wychyliła się, by lepiej widzieć. W otworze przesuwiała się ziemia, leżąca jakieś dwieście stóp niżej. Między drzewami przemykały maleńkie postaci kirasjerów, a drogą, niczym czarne chrząszcze, ciągnęły masywne cielska żelaznych psów. W głowie dziewczyny zakołowało się od tego widoku, a przerażenie ścisnęło jednocześnie gardło i pęcherz. Damy zaczęły zawodzić, pisać i mdleć.

- Spokój! - huknęła królowa. Harmider ucichł w jednej chwili.

- Niżej! Lotem ślizgowym! - rozkazał Burattini, podbiegając do żołnierzy ze szpulą wyciągniętego ze skrzyni lontu. - Zapalcie pochodnię!

Chwiejąc się nad ziejącą pustką dziurą, zaczął odcinać nożem kawałki lontu o odpowiednio - i niepokojąco - niewielkiej długości. Komputowi wtykali je w otwory z tyłu bomb i układali na podłodze obok rozwartego luku. Muszkietier podał mistrzowi zapaloną pochodnię.

- W przyszłości pomyślimy nad jakimś specyfikiem, który będzie wybuchał od samego uderzenia. - Burattini spojrzał na królową nieomal przepaszającą. - Teraz muszę sam podpalić. Mam nadzieję, że dobrze oszacowałem długość lontu, naszą wysokość i prędkość spadania bomb...

Wyjrzał przez wylot, kiedy smok znów przechylał się, robiąc zwrot. Naukowiec zachwiał się, omal nie wypadając, i ostrożnie przyłożył pochodnię do końcówek lontów. Komputowi natychmiast wyrzucali skwierczące bomby. Gniew Królowej spadał z rosnącym basowym buczeniem, ciągnąc za sobą smugę dymu. Maria wstrzymała oddech, czekając na efekt.

Zagrzmiało. I to potężnie. Smokiem wstrząsnęła cała seria ogłuszających eksplozji. Pokład zakołysał się gwałtownie, do środka wdarły się kłęby dymu i ognia.

- W górę! - wrzasnął Burattini do sternika. - Mówiłem natychmiast w górę, pusty łbie!

Pokładem bujało coraz bardziej. Przez jedno z okien Marysieńka spostrzegła, że co najmniej dwa smocze skrzydła płoną, a dwa kolejne są tylko trzepoczącymi bezowocnie kikutami. Potworem trzęsło i kołysało coraz bardziej, damy pisały i płakały. Spowiednik królowej i jałmużniczka padli na kolana i zaintonowali psalm pokutny:

- Zmiłuj się nade mną, Boże...

Tylko Ludwika zachowała kamienny spokój i siedziała zupełnie nieporuszona, jedynie groźnie marszcząc brwi. Tymczasem smok bujał się coraz mocniej, nie mogąc ustabilizować lotu. Marysieńka zacisnęła powieki...

Neogotycka wieża, stojąca w północnym skrzydle zamku, nie straciła w ostrzale nawet jednej blanki. Trzej oficerowie wbiegli na szczyt, zanim bombardowanie przerwał nalot smoków. Chmara maszyn, łopocząc wściekle, przeleciała nad miasteczkiem, wykonała zwrot i zniżyła się nad drogą, na której zatrzymały się żelazne psy. Sobieski i kompani byli przekonani, że Szwedzi zostaną choćby ostrzelani

przez muszkieterów królowej. Z góry, chronieni smoczym pancerzem, mieli znaczącą przewagę. Żelazne psy nie zostały przystosowane do prowadzenia ostrzału w niebo, pozostawały więc zupełnie niegroźne.

Jednak to, co wykonali dworzanie Ludwika, zupełnie zaskoczyło zarówno Szwedów, jak i przyglądających się wszystkiemu Polaków. Oto bowiem na pozycje oddziałów pułkownika Törnskjölda wprost ze smoczych brzuchów posypał się grad bomb. Wnet widok przesłoniły kolumny ognia i dymu, w których znikły latające maszyny oraz kłębiące się na dole szwedzkie oddziały.

- Niech mnie kule biją! - Potocki obiema rękoma zaparł się o mur, jakby chciał w ten sposób powstrzymać się przed skokiem w dół i rzuceniem się w wir walki. - Co się tam dzieje?

Z czarnej chmury, ciągnąc za sobą ognistą smugę, wynurzył się smok w żelaznej koronie. Ogień i dym spowijały skrzydła i grzbiet. Wkrótce pojawiła się jego świta, w niewiele lepszym stanie. We wszystkich maszynach najbardziej ucierpiały delikatne skrzydła - odłamki i kule z muszkietów podziurawiły je i potrzaskały.

Nagle skrzydła jednej z bestii załopotały nierówno, w trzewiach smoka zadudniło głucho, z wewnątrz buchnęły kłęby dymu. Maszyna przechyliła się na bok, z furkotem obróciła się wokół własnej osi i grzmotnęła bokiem w mijającego ją kompana. Darty i gnieciony metal zazgrzytał boleśnie, brzęk i chrzęst przetoczyły się po okolicy, jakby zderzyły się ze sobą chorągwie ciężkiej jazdy. W dół posypały się kawały podartej blachy, straskanego drewna, skrzynie, beczki prochu i wrzeszczący ludzie. Pierwszy smok odbił się i wykonał jeszcze kilka obrotów, siejąc wokół odłamekami, aż wreszcie z ogłuszającym hukiem gruchnął o ziemię. Druga maszyna zakołysała się, gdy piloci rozpaczliwie próbowali wyrównać lot, przechyliła się jednak i poszybowała w dół. W jej boku ziała kopcząca dziura, przez którą wychylali się przerażeni muszkieterzy. Kilku w panice skoczyło w dół, chcąc ratować się z opresji.

Wtem na skład amunicji w maszynie padła zabłąkana iskra. Eksplozja wstrząsnęła niebem i ziemią, a smok na chwilę zmienił się w ognistą kulę, jakby oto weszło drugie słońce.

- Bogu dzięki, że to nie smok naszych panien! - ryknął Grudziński. - Chciałem powiedzieć - zmiotygał się - tych rzucających uroki wiedźm

- Smok flagowy też oberwał, ale jakoś się wznosi - mruknął Sobieski. - Tylko dlaczego leci na zachód? Opole jest na północy!

- Może musi lądować i szuka miejsca jak najdalej od Szwedów? Albo Jej Wysokość mimo wszystko kieruje się na klasztor w Mochowie, by odebrać ten obraz! - Potocki aż podskoczył z emocji. - W takiej chwili! Jakiś tam zakichany obraz! Och, infantylność i bezmyślność Francuzek jest porażająca... Co robimy, panowie?

- Zgodnie z rozkazem mamy bronić zamku i rodziny Oppersdorffów - odparł chłodno Sobieski. - Bombardowanie pewnie zniszczyło część żelaznych psów i przerzedziło kirasjerów, ale wrogów nadal jest siła. Powinniśmy siedzieć i czekać, ewentualnie wysłać podjazdy.

- To nie uchodzi, Janie. - Grudziński odruchowo złapał za szablę. - Królowa może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Powinniśmy ruszyć z pomocą!

Sobieski milczał. Marszcząc brwi, patrzył na oddalające się smoki, za którymi ciągnęły się smugi dymu. Większość maszyn chybotwała się, niektóre opadały i wznosiły się z trudem, ale wciąż podążały za królową. Smok flagowy też tracił wysokość, wyglądało na to, że pożar na jego ogonie się rozprzestrzenił. Jan zacisnął pięści. Co z panną d'Arquien? Czemu Ludwika zdecydowała się

atakować Szwedów? Czy po to, by ratować swoich śląskich przyjaciół i pokazać polskiej szlachcie, jak potrafi walczyć kobieta?...

- Dlaczego nie wracają do zamku? - mruknął na głos. - Dlaczego nie zawrócili, przecież i tak daleko nie zalecą?

- Królowej okrutnie zależy na tym obrazku. - Grudziński też nie odrywał spojrzenia od smoków.

- Głupie baby - warknął Potocki. - Głupie, wstrętne wiedźmy. Doigrały się, cholery... No co tak patrzycie? Będziemy stali na tej wieży jak bisurmańscy muezini, czy ruszamy damom na pomoc?

Sobieski obrócił się na pięcie i rzucił przez ramię:

- Idziemy!

Ledwie wybiegli na dziedziniec, gdy drogę zastąpiło im dwóch towarzyszy husarskich, trzymających pod ramię upudrowanego dworaka. Przy dwóch wąsatych szlachcicach w błyszczących pancerzach mężczyzna w filetowym kubraku, białych spodniach i nieco zmierzwionej peruce sprawiał nader wątpliwe wrażenie. Spostrzegłszy trzech oficerów, szeroko się do nich uśmiechnął.

- Kogo widzę? - złowrogo ucieszył się Sobieski. - Toż to pan Des Noyers!

- Czy będzie politycznie, jeśli od razu rozwalę mu łeb? - spytał przez zęby Grudziński.

- Pohamuj się, Adaś. Najpierw nam ptaszek wszystko wyśpiewa - wycedził Potocki. Bez ceregieli złapał Francuza za kaftan i uniósł wysoko. - Kto ci kazał nas oczerniać, perfumowany pajacu? Kto ci płaci?

- Co to ma znaczyć! Proszę mnie puścić, jestem królewskim podczaszym, piastuję wysoki urząd! Jeśli spadnie mi włos z głowy, odpowiecie przed królem! - Des Noyers szamotał się niezdarnie w żelaznym uścisku husarza.

- Czemu nie zabrałeś się z królową? - spytał Sobieski.

- Nie mogę latać. Cierpię na pewną wstydliwą przypadłość...

- Problemy z kuśką? - zatroszczył się Grudziński.

Francuz się zaczerwienił.

- Lęk przed wysokością - wybąkał. - A teraz proszę łaskawie mnie puścić. Wszystko wyjaśnię. Nie oczerniłem panów złośliwie czy dla zysku. Opisałem was szczerze i rzetelnie, na podstawie listów, które otrzymałem od waszych sąsiadów i przyjaciół.

Zapadła niezręczna cisza. Potocki postawił szlachcica z powrotem na ziemię i wyraźnie zmieszany spojrzał na kompanów. Grudziński rzucił pod nosem kilka klątw na sąsiada, z którym jego rodzina od lat miała na pieńku. Sobieski pokręcił tylko głową.

- Czyś waćpan się urodził wczoraj czy co? - zwrócił się do Francuza. - Nie wiesz, że największy wróg każdego Polaka to jego rodak? Jeden nie daruje drugiemu powodzenia, czy to w boju, polityce, czy

interesach, i będzie na nim psy wieszał. Nie należało opinii naszych przyjaciół traktować dosłownie...

- Niby szczywany dyplomata, a w takich sprawach zupełnie jak dziecko. - Potocki pokręcił głową. - Traktujesz poważnie doniesienie mojego sąsiada, któremu nie raz gębę obilem? I który chytrze spogląda na moje gospodarstwo, zazdrości, knuje, jak je zagarnąć? Wiadomo, że wygadywał będzie na mnie same kalumnie i świnie podkładał.

- Przecież w wielkiej polityce robicie dokładnie tak samo! - dodał Grudziński. - Udajecie przyjaciół, kłaniacie się, szczerzycie zęby w fałszywych uśmiechach, a za plecami knujecie przeciw sobie i przy byle okazji sypiecie truciznę do wina. Tfu! Pogardzamy takim wojowaniem i brzydzimy się nim z całego serca. Dlatego nie próbujemy nigdy się bronić przeciw takim świństwom i odpowiadać tym samym. To nie przystoi rycerzom!

Sobieski zadumał się, pogładził wąsy, wreszcie chrząknął ze złością pod nosem.

- A może popełniamy błąd? Może powinniśmy tak samo? Dziś różne gnidy knują przeciw nam, szkodzą nam bezkarnie. Jutro zaczną knuć przeciw Rzeczypospolitej! Jednego dnia, dajmy na to, wyciągniemy pomocną dłoń do Habsburgów czy Romanowów, a nazajutrz ci nieboracy wspólnie wsadzą nam sztylet w plecy. Może powinniśmy zapomnieć o rycerskim honorze i zniżyć się do ich poziomu?

- Nigdy! - ryknął Potocki.

- Za nic! - zawtórował Grudziński.

Tym razem Francuz się zmieszał i po chwili wahania zaczął się kajać. Trzej szlachcice przyjęli przeprosiny, a na znak, że nie chowają urazy Potocki przyjacielsko poklepał Des Noyersa po plecach, omal nie posyłając go przy tym na ziemię. Sobieski uznał sprawę za załatwioną i zajął się wydawaniem rozkazów. Po chwili na dziedzińcu zawrzało. Husarze i dragoni, którzy nie mogli już doczekać się bitki, wsiadali na konie, przekrzykując się w podnieceniu.

- Atakujecie Szwedów? - zaciekał się Des Noyers.

- Jako żywo! Najpierw jednak spróbujemy odnaleźć królową - odparł Sobieski. - Obawiam się, że Jej Wysokość jest w niebezpieczeństwie. Jedziesz waćpan z nami?

Sekretarz spojrzał niepewnie na wielkich, silnych mężczyzn pobrzękujących rynsztunkiem i radośnie gotujących się na nadchodzącą walkę. Jak odnaleźć się w tym tłumie brutalnych wojów? On, człek wykształcony i obyty, ma iść w bój razem z tymi nieledwie barbarzyńcami?

- Jadę. Pozwólcie tylko, że wezmę swój rapier i pistolety - powiedział wbrew sobie.

Klasztoru w Mochowie nie postawiono jako twierdzy - składał się tylko z kościoła i jednego domu, w którym mieszkali ojcowie paulini. Niski mur obronny natychmiast po wylądowaniu obsadzili muszkietierowie. Większość latających maszyn ugrzęzła na łące za klasztorem, na placu przed kościołem wylądowały tylko trzy ornitoptery, w tym flagowy smok królowej. Po pobieżnej kontroli przeprowadzonej przez Burattiniego okazało się, że większość pojazdów wymaga napraw i dalszy lot trzeba przełożyć o kilka dni. Jednak zanim dwór ulokował się w klasztorze, a naukowiec ze swoimi pomocnikami zabrał się za robotę, na drodze pojawili się kirasjerzy. Powitała ich salwa z

muszkietów, po której Szwedzi cofnęli się na bezpieczną odległość, wyraźnie czekając na wsparcie.

Prowincjał zakonników, ojciec Bronowski, kazał bić w dzwony i ruszył do kościoła, by odprawić modły w intencji ocalenia królowej. Ledwie zabrzmiał dzwon, gdy powietrzem wstrząsnął głuchy grzmot, a po nim rosnący gwizd. To nadlatywała armatnia kula, siejąc przerażenie w sercach zgromadzonych. Na chwilę cały fraucymer i gwardia królowej zamarły w oczekiwaniu.

Najpierw gruchnęło w kościelną wieżę. Dzwon spadł na ziemię z metalicznym hukiem i łomotem sypiącego się gruzu. Tumany pyłu wzbily się wysoko, ogarniając kościół i biegających po dziedzińcu ludzi. Rozległy się krzyki żołnierzy, wrzaski i jęki rannych. Szwedzi atakowali!

Muszkietierzy ustawiali się w szeregu za kościelnym murem, szykując broń do strzału. Dwórki doskoczyły do okien klasztoru; każda chciała zobaczyć zbliżającego się wroga. Może to tylko szwedzkie niedobitki? Może da się ich powstrzymać?

Z metalicznym chrzęstem żelazne psy pojawiły się na drodze z Głogówka. Napędzające je dusze zawodziły żałośnie, koła łomotały na nierównościach drogi. Czarne, masywne korpusy wyglądały z daleka niczym pełzające, ogromne żuki. W otwartym wlocie pierwszego z pojazdów siedział pułkownik Törnskjöld, chudy mężczyzna z posklejanymi łojem długimi włosami i opaską na pustym oczodole. Twarz miał upiornie bladą, pozbawioną jakichkolwiek emocji.

Uniósł rękę. Pojazdy stanęły, dusze umilkły w jednej chwili, zapadała upiorna cisza. Szwedzki pułkownik siedział dłuższy czas bez ruchu, patrząc na klasztor.

Królowa obserwowała go z okna domu klasztornego. Nikt nie ośmielał się jej przeszkadzać. W milczeniu siłowała się wzrokiem ze szwedzkim zabójcą. Wreszcie Törnskjöld dał znak i dusze uwięzione w sercach żelaznych psów znów zawyły pod niebiosa. Pojazdy ruszyły powoli, unosząc lufy armat. Za nimi dreptały dwa szwadrony kirasjerów.

Żadna ze zgromadzonych przy Ludwice dam nie ośmieliła się wpaść w histerię czy choćby głośniejsz złochoać. Kilka uklękło razem ze spowiednikiem Franciszkiem de Fleurym, by się modlić, inne sięgnęły do ukrytych w sukniach sztyletów i zatrutych szpil. Panowały powaga i skupienie. Damom nawet przez myśl nie przeszło, że królowa mogłaby się poddać i udać do szwedzkiej niewoli. Wszystkie czekała ostateczna walka, w której wdziek i kobiece sztuczki na niewiele się zdadzą. Szwedów czekała jednak niespodzianka – większość dam potrafiła posługiwać się bronią i zamierzała walczyć do końca.

Do komnaty weszły ramię w ramię polskie i francuskie dwórki, tym razem bez podziału na górny i dolny dwór. Panna Katarzyna Zamoyska, Magdalena Konopacka i księżna Czartoryska przyniosły naręcza pistoletów i szable, a Suzette Tuven, Domicela Jose i Charlotte Des Essarts przytargały dwa arkebuzy i kilka rapierów. Rozpoczęło się uzbrajanie fraucymeru.

– Ci mężczyźni w czarnych kirysach wyglądają koszmarnie – szepnęła Gabriela do przyjaciółek. – Szwedzi są oślizgli, zimni i bladzi niczym brzuchy śledzi.... Słyszałam o zbrodniach i okrucieństwach, jakich dopuszczają się na wojnach. Obawiam się, że gdy wpadniemy w ich łapy, spotka nas coś potwornego. Pewnie nas zhańbią, zamordują, a na koniec wepchną nasze dusze do swoich żelaznych maszyn! Ogromnie żałuję, że nie ma przy nas polskich rycerzy...

– W porównaniu do tych potworów wydają się tacy czyści i szlachetni – przytaknęła Adrianna. – Jeśli ujdziemy z tego z życiem, przysięgam, że sama poproszę, by królowa wydała mnie za jednego z nich. Najlepiej za tego zawsze uśmiechniętego, z jasną czupryną. Sprawiał wrażenie takiego, co to potrafi zapewnić kobiecie bezpieczeństwo.

- Na razie pozostaje nam się modlić, by ci szlachcice naprawdę okazali się godni noszenia miana rycerzy - westchnęła panna d'Arquien. - Oby ich opisy, przygotowane przez Des Noyersa, rzeczywiście miały się z prawdą.

Zagrzmiały szwedzkie armaty. Ogłuszające eksplozje rozerwały mur i rozrzuciły ciała muszkieterów. Amanta de Langeron nie wytrzymała napięcia i tym razem zemdlła zupełnie bez udawania. Królowa nadal stała w oknie i patrzyła w dal. Törnskjöld się nie śpieszył, żelazne psy zwolniły i wymierzyły w budynek klasztoru. Czarne otwory luf patrzyły wprost w okno królowej. Dym rozwiął się na wietrze. Zapadła absolutna cisza. Wszyscy wstrzymali oddech, czekając na morderczą salwę.

Wtedy rozległ się szum i basowe dudnienie. Załopotwały proporce na uniesionych kopiach. Husaria wyłoniła się z lasu za plecami kirasjerów. Stopniowo rozpędzała się do galopu, w równych szeregach, z każdą chwilą nabierając tempa. Ludwika uśmiechnęła się z ulgą. Szwedzi próbowali ustawić się do odparcia szarży, ale Polacy już gnali cwałem, już opuszczali kopie i zwierali szyk, zamieniając się w zwarty mur ostrzy i grotów.

Uderzyli z łomotem, chrzęstem i hukiem. Kwik koni i wrzask mordowanych ludzi zlał się w jedną straszliwą, wojenną arię.

Za husarią pędzili dragoni, w locie dobijając rannych Szwedów. Po chwili zmienili kierunek jazdy i po szerokim łuku uderzyli w zawracające żelazne psy. W otwarte gardziele pojazdów pomknęły pociski z bandoletów i granaty, ciągnące za sobą zapalone lonty. Zanim psy zdążyły wypalić z armat, eksplozje granatów zapaliły ładunki prochowe w ich ładowniach. Ciężkie maszyny wybuchały kolejno do wtóru wycia uwalniających się dusz.

Królowa odwróciła się od okna i z tajemniczym uśmiechem przebiegła wzrokiem po dwórkach. Wszystkie wyprostowały się, stając niczym szkolona armia. Znały to spojrzenie. Ludwika zdecydowała, że trzech młodzi szlachcice zdali egzamin. Staną się jej wiernymi pretorianami, zwolennikami francuskiej frakcji. Teraz szukała narzędzi, które ich do tego ostatecznie przekonają - pięknych i mądrych Francuzek, potrafiących łamać polskie serca.

Sekretarz królowej drżącą ręką otarł krew z twarzy. Na szczęście nie należała do niego, tylko do kirasjera, któremu rapierem rozorał gardło. Des Noyers pierwszy raz w życiu brał udział w tak gwałtownym starciu i nie było to doznanie, które chciałby kiedykolwiek powtórzyć. Nie potrafił zachować się w walnej bitwie, czego omal nie przypłacił życiem. Kiedy husarze uderzyli we wroga i wywiązała się bezładna rąbanina, sekretarz królowej kilkakrotnie skrzyżował ostrze z rapierami kirasjerów i cudem nie stracił głowy. Na szczęście Potocki miał na dworaka oko i nieraz ocalił mu skórę, odpierając ataki napastników. Po bitwie Francuz zsunął się z siodła i na uginających się kolanach podreptał do oficera, by mu podziękować. Znalazł go na dziedzińcu przed kościołem o pogruchotanej i dymiącej wieży, gdzie Potocki stał razem z Sobieskim i Grudzińskim. Szlachcice przyglądali się zakonnikom wynoszącym z wnętrza lektykę z jakimś przykrytym płótnem przedmiotem.

- Dla czegoś takiego królowa ryzykowała życie? - oburzył się rotmistrz. - Ja chyba śnię. Wszystko przez jakiś zakichany obraz! Te baby są niespełna rozumu. Dla świecidełek i błyszczących szpargałów gotowe są na wszystko. Ech, od początku mówiłem, że francuskie białogłowy to samo zło...

- Nie przesadzaj, Adasiu. - Potocki wskazał na królewską świtę, wychodzącą właśnie z domu

klasztornego. – Może to i wiemy, ale za to jakie powabne! Nie można wzroku oderwać!

Des Noyers uklonił się oficerom i już zabierał się za wygłoszenie długich i patetycznych podziękowań, ale porucznik zbył je machnięciem ręki. Sekretarz zrozumiał, że Potocki nie przykładają specjalnej wagi do uratowania komuś życia na polu bitwy, za to nie życzy sobie, by przeszkadzano mu w oglądaniu panien. Uśmiechnął się pod nosem. Przyłączył się do rycerzy i wziął udział w bitwie nie dla przyjemności, ale by bliżej poznać młodą polską szlachtę. Dla tej wiedzy opłacało się zaryzykować, wszak tacy jak ci młodzieńcy niedługo będą rządzić krajem. Sekretarz będzie musiał razem z królową opracować sposoby wpływania na im podobnych, a teraz wiedział, że prócz wysokiego poczucia własnej godności, wolności i honoru, dodatkowo młodzi rycerze wykazują sporą bezinteresowność i beztroskę. To się może przydać. Uklonił się zatem bez słowa i posłusznie odsunął, by nie utrudniać oficerom podziwiania fraucymeru.

Tymczasem królowa i jej dwórki stanęły przed zakonnikami niosącymi obraz. Prowincjał Bronowski kazał paulinom opuścić lektykę i osobiście odsłonił płótno, by zaprezentować nieuszkodzony w czasie ostrzału skarb. Oczom wszystkich ukazała się niemal zupełnie czarna ikona przedstawiająca Maryję z dzieciątkiem. Ludwika uklękła przed obrazem i pochyliła głowę; za nią uczynił to samo cały fraucymer.

– Święty obraz – jęknął Sobieski. – To Matka Boska Częstochowska, którą król ledwie miesiąc temu ogłosił Królową Polski i której powierzył opiekę nad Rzeczpospolitą.

Rotmistrz tylko przełknął ślinę, a potem huknął się w piersi, aż echo poszło po okolicy.

– A myśmy posądzali Jej Wysokość o płoche przywiązanie do świecidełek... – ciągnął Sobieski. – Myślałem, że święty obraz jest na Jasnej Górze.

– Przeniesiono go z obawy, by nie wpadł w szwedzkie ręce – oświadczył Des Noyers. – Po wyjeździe Jana Kazimierza odpowiedzialność za ikonę spoczęła na królowej. To płótno nie mogło wpaść w ręce wroga, nawet jeśli Jej Wysokość musiałaby poświęcić życie w jego obronie.

Oficerowie uklękli, a chwilę później, zdejmując hełmy i czapki, zrobili to wszyscy znajdujący się w okolicy husarzy i dragoni.

– Dlaczego nam nie powiedziała? – spytał szeptem Sobieski.

– Nie wiedziała, czy może wam ufać. Przecież do niedawna walczyłeś, pułkowniku, pod szwedzkim sztandarem. Dwaj wacpana kompani też nie szczycą się dobrą opinią. Musieliśmy sprawdzić, czy naprawdę jesteście wierni prawowitemu władcy, czy Rzeczpospolita znajdzie w was oparcie – spokojnie odparł Des Noyers. – Dlatego też zostałem w Głogówku, musiałem was obserwować.

– Myślałem, że tej har... Jej Wysokości zależy tylko na sfrancurzeniu naszej ojczyzny – mruknął Grudziński.

– Wszystko, co robi najjaśniejsza pani, ma służyć stworzeniu z Polski wielkiego imperium. Uwierzcie, ona naprawdę kocha ten kraj. – Sekretarz królowej przeżegnał się z rozmachem i wstał, otrzepując poplamione krwią pantalone.

– Przygotujesz nowy opis naszych osób? – spytał zadziornie Potocki.

– Nie ma takiej potrzeby. Królowa sama widziała, ile jesteście warci. Wasze losy już zostały przypieczętowane. – Francuz uśmiechnął się.

Wieczorny wiatr rozwiął wreszcie smród spalenizny unoszący się nad klasztorem. Uprzątnięto też ciała poległych w potyczce, na łące zostały tylko poczerniałe korpusy spalonych żelaznych psów, rzucające długie, ponure cienie. Jeden z ojców paulinów odprawił przy nich modły w intencji dusz, które przez długi czas tkwiły uwięzione w napędach maszyn. Przeżegnał się też nad poczerniałymi zwłokami pułkownika Törnskjölda i jego żołnierzy, których razem z kirasjerami wrzucono do jednej, głębokiej mogiły. Królowa nie zezwoliła na ekstrakcję ich energii życiowej, co koniecznie chciał przeprowadzić Burattini. Nie życzyła sobie eksperymentów na ludzkich duszach.

Maria d'Arquien siedziała na framudze otwartego okna i patrzyła na plac przed kościołem, wdychając świeże, pachnące wiosną powietrze. Słońce ledwie wystawało nad wierzchołki drzew pobliskiego lasu; za chwilę klasztor pogrąży się w ciemnościach. Na polu z drugiej strony muru łomotały młoty rzemieślników zatrudnianych przez Burattiniego. Trwała naprawa jego latającej floty, mającej stanowić załazek niezwyciężonych sił powietrznych Rzeczypospolitej. Jednak wzroku Marysieńki nie przyciągali muszkietery i parobkowie krzątający się przy smokach, a przechadzające się po dziedzińcu panny, którym towarzyszyli polscy oficerowie.

Gabriela chichotała z żartów rotmistrza Grudzińskiego, choć może bardziej z tego, jak zabawnie kaleczył francuski. Wcale go to jednak nie peszyło, gdy z pasją opowiadał pannie swoje barwne przygody i nieustannie silił się na koślawe komplementy dotyczące urody dziewczęcia. Tuż obok Potocki posyłał płomienne spojrzenia zarumienionej Adriannie, która cierpliwie udzielała mu lekcji francuskiego. Porucznik odwdzięczał się jej wpajaniem podstaw polskiego.

Marysieńka uśmiechała się smutno, patrząc na przyjaciółki. Została całkiem sama. Miły jej sercu rycerz odjechał w stronę zachodzącego słońca. Królowa rozkazała mu natychmiast odprowadzić chorągiew husarską do Jana Kazimierza. Tak cenny oddział nie powinien pozostawać zbyt długo poza targaną wojną Polską.

- Czemu się smucisz, moje dziecko? - Marysieńka usłyszała tuż za swymi plecami znajomy głos.

Ludwice nie towarzyszyła żadna, najmniejsza nawet świta. Królowa najwidoczniej przechadzała się po klasztorze zupełnie sama. Objęła Marysieńkę, powstrzymując ją przed wykonywaniem ukłonów, i wyjrzała przez okno.

- Ach, o to chodzi. - Pokiwała głową. - Sobieski zawrócił ci w twojej młodziutkiej główce.

- Raczej wdarł mi się w serce, Wasza Wysokość - westchnęła dziewczyna. - Dlaczego został ukarany i odesłany precz? Ja... My... Ja z nim...

- Ukarany? Dostał listy polecające do króla. Radzę w nich, by powierzył mu jakiś wojskowy urząd. Na początek może uhonorował, nadając tytuł chorążego wielkiego koronnego.

- Jednak spodobał się Waszej Wysokości! - ucieszyła się Marysieńka. - Dlaczego zatem, najjaśniejsza pani, zabroniłaś mi z nim rozmawiać i choćby się pożegnać?

- Nie podoba mi się afekt, który do siebie czujecie. Widać go na pierwszy rzut oka. - Ludwika pokręciła głową. - Ludzie o naszej pozycji nie mogą kierować się uczuciami, moje dziecko. Wybij go sobie z głowy, dobrze ci radzę. Nie zostaniesz żoną zwykłego żołnierza, zmarnowałbyś się tylko. Ten młodzieniec, choć dobrze sobie radzi w bitwie, niczego wielkiego nie osiągnie. Jesteś prawdziwą perłą w naszym fraucymierze, przeznaczyłam cię do innych, wyższych celów. Szykuję dla ciebie

wojewodę Zamoyskiego, będziesz prawdziwą panią, żoną wielkiego i potężnego bogacza. Takich właśnie ludzi potrzebuję w mojej frakcji i dopilnujesz, by twój mąż stał się mi wierny i posłuszny. Oni wszyscy są niczym maszyna, *machine de Pologne*, która robi, co się jej każe, wzniesie się nawet ponad chmury, pokona największe przeciwności. Trzeba tylko umieć nią sterować. A ty umiesz, uczyłam cię tego przez całe życie.

Marysieńka opuściła głowę i przełknęła rosnącą w gardle gulę.

– Jak rozkażesz, Wasza Wysokość. – Dygnęła.

Ludwika ujęła ją za brodę i pocałowała w czoło.

– Nie becz! Nie zapominaj, że jesteś francuską arystokratką – powiedziała ciepło, lecz stanowczo. – Uśmiechnij się, no już. Nie pora na smutki, masz się radować jak wszyscy, którzy przeżyli dzisiejszy dzień. A miłość do tego żołnierza możesz w tajemnicy sobie pielęgnować, tego ci nie bronię. Tylko szła, niech nikt się o tym nie dowie. Idź, napisz do niego list.

Panna d'Arquien ukloniła się i odeszła z wysoko poniesioną głową. Tylko raz, niezbyt szlachetnie, pociągnęła nosem. Na korytarzu spotkała zakonnikę i poprosiła go o papier, pióro i atrament. Potem zaszyła się w klasztornej kaplicy, jedynym miejscu gdzie panował spokój, i przy pełgającym świetle łożówki napisała list do Jana.

Pierwszy z tysiąca.

wieś Powązki – wieś Pieńków, wrzesień 2011